

Kwartet holenderski..

Muzyka kwartetowa, jest jak rzadki cieplarniany kwiatek, który pielęgnowany być musi z wielką pieczołowitością, a który służąc tylko prawdziwym znawcom, dochodzi mimo swej nikłości do wielkiej ceny. Nieznany w naszym społeczeństwie objawem, jest wielkie zamiłowanie u Holendrów do hodowli tulipanów, których wartość dochodzi do bajecznej nieraz wysokości. U nas nietylko tulipan, ale wogóle kwiat jest czemś, w co chętnie się przystajemy, zwłaszcza wtedy, gdy dużo nie kosztuje — a pasja do tulipanów u Holendrów, olbrzymie sumy łączących na hodowlę już nie całego rodu tulipanów, lecz tylko pojedynczych okazów, jest — mówmy otwarcie — śmieszną, gdyż nie umiając odczuwać piękności i poezji w tym kierunku — nie potrafimy odczuć i potrzeby posiadania i majenia sobie życia tym właśnie a nie innym kwiatem.

Mniej więcej tak samo ma się rzecz z muzyką kwartetową. Osobniki tępe lub mniej wrażliwe na skomplikowane i kunsztowniejsze budowane utwory muzyczne — chodzą na produkcje kwartetowe — dla czegożby nie, przecież to się da wysłuchać — ale produkcje te przechodzą na nich bez wrażenia. U nich podnosi się temperatura uczuć dających odzew muzyce — tylko w takt monotonnego rytmu walca lub marsza — lub wreszcie za dźwiękiem ekliwej piosenki z Café chantant.

Inaczej — znawca — smakosz. Temu szkła się oczy wówczas, kiedy dobrana czwórka smyczków filuje w Scherzo — rozjaśnia się wejrzenie, kiedy szlachetne linie Beethovenowskiego Andante lub

szymy ją przygodnie, to jest też ona zupełnie. przygodną i dyletancką.

Niemalą też radością napełniła prawdziwie muzycznych ludzi wieść, iż krakowskie Towarz. muzyczne przedstawi na jednym z swych koncertów słynny i obecnie najznakomitszy w Europie zespół, zwany kwartetem holenderskim.

Wyborny ten zespół powstał z słynnego „Tria holenderskiego“, które przed kilku laty zrobiło takie potężne wrażenie na najwybredniejszych znawcach Warszawy, Lwowa i Krakowa.

Obecnie tworzą kwartet ten panowie: Joseph M. van Veen pierwsze skrzypce, Willem Feltzer drugie skrzypce, Johan Ruinen altówka i Jaques van Lier wiolonczela.

Godziłoby się opowiedzieć bodaj potroszę o każdym z członków tego zespołu. Każdy z nich osobno jest znakomitą artystą, a nadto wybornym wirtuozem na swym instrumencie. W braku jednak miejsca ograniczyć się musimy do zanotowania i stwierdzenia faktu, iż zarówno krytyka fachowa jak i prasa codzienna, wyrażają się o produkcjach kwartetu z szczerem i rzetelnym uznaniem, notując z prawdziwą przyjemnością olbrzymie sukcesy i zdobywane laury u rozentuzymowanej publiczności całej Europy.

Dan'em nam sposobności usłyszenia znakomitego zespołu, zasłużyło sobie na prawdziwą wdzięczność ruchliwe Tow. muz., które nad podniesieniem muzycznego *niveau* Krakowa pracuje gorliwie i szczerze.



Adagio płynną przez salę... lichej na swym fotelu, przeżywa eklektyczny prawdziwie podniosłe chwile. Społeczeństwem naprawdę kulturowym jest niewątpliwie to, które posiada zespoły tego rodzaju, co kwartet, tria itd.

U nas z rozmaitych przyczyn nie rozbrzmiewa publicznie muzyka kwartetowa, a jeśli kiedy sły-

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem leśniczy wraz z żandarmami i Ściborą, wesoło zabawiali się w ekonomskim dworku, czekając na przybycie Pogórnego, a Giorczak w drugiej izbie przemysłował nad tem, czy dobrze zrobił, że w ten sposób wziął się do zgębienia zniechęconego parobczaka.

Po dłuższych namysłach Giorczak przyszedł do przekonania, że istotnie całkiem niepotrzebnie wzywał żandarmów.

— Ścibora, stary szczwany lis, miał rację, kiedy mówił, że lepiej to wszystko puścić w niepamięć — mówił sobie w duchu Giorczak — to jak ten łotr mnie dusił widziała tylko Hania, a ona nie będzie świadczyć przeciw niemu. Ba! może jeszcze wygada się nawet, że napadłem na nią, że chciałem zmusić ją do uległości i sąd gońców więcej zająć się moją osobą, jak tym podłym chłopem! A z tym rogaczem także mi pewnie lepiej nie pójdz! Łotr skryje go gdzieś, a świadków nie ma, żeby mu można kłusownictwo udowodnić!... A zresztą, chociażby sąd uwierzył w jego wodnię!... A zresztą, chociażby sąd uwierzył w jego winę, chociażby go i zamknęto na parę miesięcy, to co mi z tego?!... Czekaj mnie potem tylko zemsta z jego strony i to zemsta straszna! Najlepiej było, gdyby...

Oczy Giorczaka zapłonęły dziko, twarz przybrała zbójcecki wyraz.

— Tak! — szepnął w końcu silnym, zdecydowanym głosem — tak! ja albo on!... Gdy już żandarmi dostaną go w ręce, nie będę mógł mu zrobić, trzeba się więc spieszyć i załatwić zaraz nasze rachunki!...

I w parę chwil potem drogą ponad Wisłą w stronę dębiny obrastającej nadbrzeżne urwiska rzeki szybkim krokiem skradającego się kota zdążyła wysoka postać mężczyzny.

Był to Giorczak.

Szedł cicho, ostrożnie, kryjąc się wśród wysokich zbóż, w każdym krzaczku przydrożnym szukając zasłony. Czasami przystawał i nadśledziwał, czy nie usłyszy kroków jakiegoś chłopca, powraca-

jącego do domu, lub czy pasący nocą konie chłopcy nie znajdują się gdzieś w pobliżu.

Szedł tak ostrożnie, jak złodziej ścigany przez żandarmów, a niepewny, czy też lada chwila nie wpadnie w jakąś pułapkę.

Ale naokoło panowała cisza; księżyc skrył się za chmury i tylko szelest muskanych wiatrem traw i zbóż dawał jeden jedyny znak życia w naturze.

Dębina czerniła się już opodal, już dolatywał do uszu plenipotenty szum fal rzecznych. Serce zabiło mu mocniej w piersi.

Przystanął na chwilę. Widocznie wahał się, widocznie powstrzymał go głos sumienia, ale nie trwało to długo. Złe instynkty wzięły prędko górę nad chwilową uczciwością.

— Nie! po co te wahania! On, albo ja! Gdyby go zamknęto, wróci, a wtedy musiałbym się pożegnać z tym światem! Lepiej więc, stokroć lepiej jemu otworzyć wrota do raj, do błogiej, wiecznej szczęśliwości!...

I z dzikim śmiechem bandyty Giorczak zapuścił się w głąb cieniistej dębiny, poczem ogładnąwszy się raz jeszcze, dobył z kieszeni rewolwer najnowszego systemu.

— Dyabeł nie śpi! — szepnął, przyglądając się połyskowi polerowanej stali — trzeba być ostrożnym, gdyż z takim łotrem walka może stać się ciężką, cięższą, niż ja się teraz sam spodziewam! Ale niech się dzieje, co chce! już ja mu za wszystko zapłacę, i za to wieczne szpiegowanie i za dzisiejszą porażkę!...

I pełnomocnik ogładnął się znów dokoła, znów przez chwilę nadśledziwał, poczem już bez wahań, szybkim i pewnym krokiem ruszył przez las. Niedługo jednak była ta droga, gdyż wnet dębina przerodziła się i Giorczak stanął na skraju małej polanki jasno oświetlonej blaskiem księżyca.

Wśród tej polanki, tuż nad brzegiem Wisły szumił ogromny rozłożysty dąb, ocieniając wąską ścieżkę, prowadzącą ponad stromym urwiskiem, które tworzyło bieg tej wspaniałej rzeki.

Giorczak rzucił się na ziemię i zaczął pełzać po polance w kierunku owego dębu. Jak robak wił się, jak kot tak się skradał wolno, ostrożnie, aż wreszcie skrył się pod cieniem zielonego olbrzyma.

Wówczas podniósł się dopiero, wyprostował,

przeciagnał i spojrzał w przepaść, kędy szumiła rzeka.

— Ach! — zawołał w duchu — dobre miejsce! On tedy musi przechodzić, woda głęboka, fala rwąca poniesie go pewnie aż hen, hen do morza!...

I zbrodniarz przykucnął za dębem, oczekując cierpliwie na swoją ofiarę.

Upłynęło chwil kilka, które Giorczakowi wiekiem być się zdawały. Myślał, czy Pogórny poszedł już do miasteczka i czy aż do rana będzie musiał nań czekać, czy też siedzi jeszcze u Hani i dopiero w drogę wyruszy.

— Ach! gdyby on już poszedł, gdyby dopiero nad ranem powracał, wszystko stracone! Ludzie zaczną się spieszyć na targ do miasteczka i przeszkoda mi w dokonaniu zemsty!...

Takie myśli plątały się po głowie zbrodniarza, gdy wtem od strony wioski na ścieżynie rozległ się szmer kroków. Księżyc schował się właśnie za chmury, jak gdyby zawarł jakiś tajemny sojusz z czuchającym na życie bliźniego łotrem.

Pełnomocnik podniósł się nieco i wlepił wzrok w dębiny.

Na ścieżce ukazała się smukła postać owinięta w białą chłopską sukmanę. Pewnym krokiem zdążyła ona w stronę dębu, a z ruchów jej pośpiech był widoczny.

— To on! — szepnął w duchu Giorczak i dreszcz trwogi przeszedł jego ciało.

Tymczasem postać zbliżała się szybko. Jeszcze parę kroków i już stanęła pod samym dębem.

Giorczakowi pociemniało w oczach. Jak dziki zwierz rzucił się na przeciwnika i całą siłą pchnął go w przepaść!...

Przeraźliwy straszny krzyk rozpacz przedarł powietrze... Prawie równocześnie dał się słyszeć plusk ciała wpadającego do wody i znów w dębinie nastała cmentarna cisza!...

Nad krawędzią przepaści z osłupiałym wzrokiem wlepionym w huczące na dole fale klęczał Giorczak blady jak trup a drżący jak liść osiki.

Krew zastęła mu w żyłach, skamieniał cały z przerażenia, bo krzyk nieszczęśliwej ofiary jego zbrodni nie był krzykiem mężczyzny, lecz — kobiety!...

(Ciąg dalszy nastąpi).